MAREK ZATWARNICKI

ŁOWCA



Marek Zatwarnicki
„Łowca”

Copyright © by Marek Zatwarnicki, 2020
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca:
Renata Grześkowiak

Korekta:
Bogusław Jusiak,
Joanna Barbara Gębicka

Skład:
Joanna Barbara Gębicka

Projekt okładki:
Marek Zatwarnicki

ISBN: 978-83-8119-538-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
www.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja demonstracyjna

Zapuść Twój sierp i żniwa dokonaj,
bo przyszła już pora dokonać żniwa,
bo dojrzało żniwo na ziemi!

Ap 14,15

Prolog

– On albo ja – szepnął ze łzami w oczach, po czym wziął głęboki wdech, uniósł broń i oddał strzał.

Lasem przetoczył się huk, na ziemię upadło bezwładne ciało. Śnieg spłynął krwią.

I

Maszerował niezbyt szeroką leśną ścieżką, pokrytą grubą warstwą błota oraz igliwia zrzuconego kilka lat wcześniej przez chore sosny. Była wczesna jesień, ale na ziemię docierało niewiele promieni słońca, przysłoniętego szarym niebem. Drzewa, trawy i zarośla wydawały się wyblakłe, a ich kolory odpowiadały raczej początkowi zimy. Wdychane powietrze było chłodne, wilgotne i przesiąknięte siarką, towarzyszącą temu miejscu już od kilku lat. Cały krajobraz przybrał bure barwy.

– Ile tego jest? – zapytał z niepokojem starym, chrapliwym głosem należącym do kulejącego towarzysza.

– Będzie z piętnaście, może siedemnaście kilo.

– Doprawdy zadziwiasz mnie, Łowco. Nikt nie jest w stanie wypatrzeć nawet królika, a tobie udaje się złapać coś takiego. Jakie to zwierzę, dzika koza? Na łowienie saren wydajesz się za wolny.

– Odyniec – odparł po chwili namysłu. – Stary, słaby i lekko schorowany dzik. Mięso ma dziwny smak. Kiedyś zostawiłbym je padlinożercom, ale teraz potrzebujemy wszystkiego, co jadalne. Ktoś musi to dobrze przyrządzić. – Odwrócił głowę. Nie lubił opowiadać o polowaniu nikomu, a szczególnie temu staremu człowiekowi.

Towarzysz marszu, mający około sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, dochodził do sześćdziesiątki. Wskazywały na to wszystkie cechy jego wyglądu, nie licząc młodzieńczego zacięcia wciąż tlącego się w oczach. To dzięki temu udało mu się dożyć tak poważnego wieku. Reszta jego ciała starzała się w normalnym tempie. Stawał się coraz słabszy. Jego kamiennej twarzy nigdy nie

wykrzywił nawet cień uśmiechu, a spojrzenie nigdy nie skupiało się na rozmówcy, ale na jakimś odległym punkcie znanym tylko jemu. Krótka siwa broda łączyła się z szarymi włosami, obsesyjnie zaczesywanymi na prawą stronę. Kulał od czasów złamania piszczeli kilka lat wcześniej.

Stary miał na sobie dwudziestoletnią, wypłowiałą kurtkę podporucznika z czasów służby w wojsku i kilka skór narzuconych na wierzch. Jego tors przecinał dobrze zachowany skórzany pas ozdobiony pozłacaną sprzączką. Przypinał do niego swój najważniejszy atrybut – dziewięciomilimetrowy samopowtarzalny pistolet P-64. Wojskowemu wydawało się, że jako jedyny ma dostęp do takiego narzędzia śmierci.

Kiedyś, zanim to wszystko się zaczęło, pełnił służbę jako jakiś oficer, ale wszyscy określali go mianem Generała. Intuicja podpowiadała Łowcy, że ten człowiek z całą pewnością miał skłonności do picia, ale obecne warunki nie pozwalały mu oddać się tej pasji.

– Wziąłeś ze sobą skórę? – zapytał Generał, przeczuwając, że odpowiedź go nie zadowoli. – Drwal potrzebuje nowej czapki.

– Nie.

– Dlaczego? – naciskał wojskowy.

– Nie nadawała się do użytku. Zniszczyła ją jakaś choroba skóry. Zwierzęta chorują, nic na to nie poradzę.

Łowca puścił mimo uszu kilka obelg i przekleństw. Rozumiał starego, ale nie chciał brać odpowiedzialności za rzeczy, na które nie miał wpływu. Poza tym wiedział, że Generał mu nie ufa.

– Zrobiliście jakieś postępy w sprawie mojego domu? – zapytał, zakłócając ciszę, przerywaną jedynie ciężkimi krokami towarzysza.

– Oczywiście, że nie. Wiesz, jak jest, to sprawa drugorzędna. Sam musisz to nadzorować. Drwal i Stolarz zajmowali się przy-

gotowaniem drewna na opał. Czeka nas długa zima. Rok temu jakoś udało się przetrwać, ale nigdy nie ma pewności.

– Tak też sądziłem. – Pochylił głowę. Tak było zawsze. Podczas gdy on zdobywał mięso niezbędne im do przeżycia, oni nie potrafili ściąć kilku potrzebnych mu drzew. Nikogo nie obchodziło nic oprócz dziczyzny.

W oddali zamajaczyły kontury kilku niewysokich chatek, schowanych za dwiema podłużnymi skałami, szerokimi na pięćdziesiąt, a długimi na pięć metrów. Byli już niemalże w domu, o ile mogli tak nazywać to miejsce. Wiedział, że każdy z dwunastu pozostałych mieszkańców wioski wyczekuje jego powrotu, ale zdawał sobie sprawę, że nie chodziło im o niego, tylko o mięso leżące w jego skórzanych torbach.

Kilka wychudzonych postaci odzianych w skóry wyszło im naprzeciw.

Jedzenia brakowało już wszystkim, dlatego dokładnie cztery i pół doby wcześniej wyruszył z ich osady na polowanie, które zakończyło się sukcesem i z którego właśnie wracał.

Ich wioska leżała wśród skał porozrzucanych w połowie góry, której wysokość nie przekraczała tysiąca dwustu metrów. Stamtąd kilka dni wcześniej, jeszcze przed świtem, ruszył w dół zachodniego stoku, porośniętego schorowanymi iglakami, posadzonymi kiedyś w idealnie równych rzędach. Później skręcił na południe, omijając teren nieporośnięty lasem, a następnie schronił się w niewielkim zagłębieniu pod rozłożystą skałą, decydując, że właśnie tam spędzi noc.

Po kilku minutach prób rozpalił niewielkie ognisko, które zgasił od razu po podgrzaniu posiłku. Robił tak zawsze z obawy przed wygłodzonymi drapieżnikami i o wiele gorszymi od nich

ludźmi. Pokrzepiony ciepłym kawałkiem wędzonego mięsa ściął kilka gałązek młodych iglaków, ułożył z nich posłanie, a następnie pogrążył się we śnie.

W nocy budził się co kilkadziesiąt minut, obracał w posłaniu, a po upewnieniu się, że wszystko jest w porządku, zasypiał ponownie. Ten zwyczaj, zapożyczony od wilków i zdziczałych psów, już nieraz uratował mu życie.

Na trzy godziny przed świtem ukrył wszystkie ślady swojej obecności w tamtym miejscu i stanął gotowy do dalszego marszu. Liczył, że o tak wczesnej porze uda mu się wypatrzeć zwierzynę, ale nie słyszał nawet głosu ptaków. Wyglądało na to, że był jedyną żywą istotą w okolicy.

Pogoda nie dopisywała. Nałożył na ciało wiele skór, ale zimno i tak przenikało go do szpiku kości. O świcie mżawka zmieniła się w deszcz o kwaśnym zapachu, deszcz – w deszcz zmieszany ze śniegiem, a deszcz ze śniegiem zmienił się w śnieg. Kiedyś o tej porze roku mógł chodzić w letnim ubraniu, ale te czasy już dawno minęły.

Po przejściu niecałych ośmiu kilometrów w południowowschodnim kierunku zatrzymał się przy brzegu strumienia. Woda niemalże stała tu w miejscu. Na jej powierzchni pływały fragmenty cieniutkiej lodowej pokrywy, roztopionej przez promienie słońca chwilę przed jego przybyciem.

Tam uzupełnił manierkę, poprawił kamuflaż na twarzy i przyjrzał się swojemu odbiciu, odwracając twarz z typowym dla siebie niezadowoleniem. „Kiedyś wyglądałem o wiele lepiej, wtedy, kiedy szanowało i słuchało mnie wielu ludzi" – pomyślał, a po chwili dodał na głos z tęsknotą:

– Wtedy, kiedy po jedzenie szło się do sklepu przecznicę dalej, nie do lasu.

Przypomniał sobie wszystkie koszule, codzienne prysznice i wizyty u fryzjera i westchnął, bo wszystko minęło bezpowrotnie dawno temu.

Teraz liczył sobie około czterdziestu trzech, może czterdziestu pięciu lat, a trudy życia dawały mu się coraz wyraźniej we znaki. Przy wzroście stu siedemdziesięciu dwóch centymetrów ważył niecałe sześćdziesiąt kilogramów.

Jego spojrzenie straciło dawny błysk ambicji. Od kilku lat nie patrzył, tylko analizował otoczenie w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia lub ofiary. Pod smutnymi, ale przede wszystkim zrezygnowanymi piwnymi oczyma człowieka walczącego o przetrwanie znajdował się smukły, dwukrotnie złamany nos. Jego twarz pokrywał kamuflaż z węgla i gliny, niestrzyżona od kilku miesięcy broda i kosmyki tłustych, spoconych włosów spływających na czoło. Spod zarostu przeświwywał ślad starej, szpecącej rany, odniesionej w czasach, kiedy to wszystko się zaczęło.

Przed wyruszeniem na polowanie na pokrytych skórami plecach zawieszał łuk w pokrowcu oraz kołczan z kilkoma strzałami, którymi zadawał zwierzynie śmiertelne rany. Do pasa przywiązywał nóż myśliwski i torbę na mięso. Miał przy sobie jeszcze jeden przedmiot, o którego istnieniu nie miał pojęcia Generał. Był to powtarzalny pistolet Glock 19 czwartej generacji. Wielokrotnie marzył o użyciu go w czasie łowów, ale nie robił tego z dwóch powodów. Strzał z broni palnej słychać było z kilku kilometrów, a on wolał nie narażać się na spotkanie z drapieżnikiem lub – co gorsza – innym człowiekiem, poinformowanym w ten sposób o jego położeniu. Ale nie to było główną przeszkodą. W magazynku o pojemności sześciu naboi znajdował się mianowicie tylko jeden pocisk. Zamierzał wystrzelić go w swoim kierunku, gdyby w trakcie polowania odniósł rany niepozwalające na powrót do domu.

Bał się, że taki koniec jest bardzo prawdopodobny, ale jednocześnie wiedział, że gdy nadejdzie czas, postąpi jak należy.

Po kilku kolejnych godzinach marszu spostrzegł, że słońce powoli zaczyna chylić się ku zachodowi. Miał do przebycia jeszcze dwa kilometry w stronę południa. Dalej kończył się jego teren łowiecki. Zawsze kierował się na południe, nigdy na północ. Obszar, który zamieszkiwał, tworzył kotlinę z trzech stron otoczoną górami. Na południu stoki gór zbiegały się w niezbyt szeroki wąwóz o kilkumetrowych ścianach. Przejście nim było nie tyle najprostszym, co jedynym sposobem wydostania się na niziny. Tam zwykł czekać na swoje ofiary.

Wypił ostatni łyk wody nabranej gołą dłonią i ruszył w dalszą drogę, z twarzą wykrzywioną grymasem. Nic nie smakowało jak dawniej. Woda, mięso i resztki leśnych owoców – wszędzie wyczuwał gryzący posmak siarki, nawet powietrze było przesycone jej związkami, a niebo przestało być błękitne od chwili, gdy wszystko pokryła cieniutka warstwa popiołu.

W końcu stanął na granicy znanego sobie terenu i z rezygnacją stwierdził, że od czasu opuszczenia wioski nie widział nawet najmniejszego zwierzęcia, a jedyną nadzieją na wyżywienie rodziny było złapanie czegoś na przełęczy. Od wąwozu dzieliło go zaledwie kilka minut. Wiedział, że tam musi coś upolować, zawsze mu się udawało. Początkowo zamierzał pobiec na miejsce od razu, ale pośpiech nie był wskazany, nawet gdyby miało to oznaczać kolejny dzień, który współplemieńcy spędzą, jedząc tylko tyle, ile niezbędne do przeżycia. Postanowił przespać się w pobliskich ruinach bunkra i poszukać szczęścia o świcie, kiedy najłatwiej było o zdobycz.

Masywna, betonowa budowla pozwalała mu na obserwowanie okolicy jedynie przez metalową płytę z niewielkim otworem

strzelniczym pośrodku. Ponad sto lat wcześniej na drewnianym stoliku ułożonym kilkanaście centymetrów poniżej miał stanąć karabin maszynowy, ale kraj, który wybudował tę konstrukcję, został sprzedany agresorowi przez sojuszników i nigdy nie wystrzelił stamtąd żadnego pocisku. Teraz historie tego rodzaju popadły w niepamięć, bo wszystko oprócz przetrwania straciło znaczenie już dawno temu.

Tamtej nocy nie rozpalił ogniska, bo ryzyko, że ktoś spostrzeże dym, było zbyt wysokie. Rozłożył tylko kilka skór, które pokryły doskonale zakonserwowaną ławę, i zaczął żuć kawałek wędzonego mięsa. Następnego dnia chciał coś upolować, coś na tyle dużego, żeby nie wracać do tego cholernego lasu przez następne dwa tygodnie albo miesiąc. Zmęczony całodniowym marszem opadł na posłanie.

Nie spał dobrze, wydawało mu się, że jest obserwowany. Kiedyś nie bał się obcych, ale od wielu lat wszystko, co nieznane, stanowiło zagrożenie i ryzyko, na które nie mógł sobie pozwolić.

Pobliskie liście zaskrzypiały rozpaczliwie, sprawiając, że wybudził się momentalnie. Na niebie nie pojawił się jeszcze żaden znak zwiastujący nadejście świtu, a ciemności mieszające się ze słabym światłem księżyca oraz burym odcieniem drzew i trawy sprawiały, że otoczenie wyglądało na martwe.

Zaniepokojony wyszedł na zewnątrz, a po stwierdzeniu, że nie ma wiatru, wrócił do środka i w pośpiechu spakował wszystkie swoje rzeczy. Wiedział, że jeśli dźwięk nie powstał od podmuchu wiatru, to musiało tam być żywe stworzenie, które on, Łowca, musiał odszukać i zabić.

Zatrzymał się po zaledwie kilku krokach, zwróciwszy uwagę na zarys świeżej sosnowej gałązki o nienaturalnym kształcie le-

żącej samotnie wśród igliwia. Bez chwili zwłoki wziął ją do rąk. Patyk miał pośrodku pęknięcie nietypowe nawet dla uszkodzeń powstałych w czasie gradobicia. Wiedział, że takie złamania powstają tylko w wyniku silnego nacisku kończyn.

– Zwierzyna – szepnął, czując nagły przypływ adrenaliny. Był jak dziecko mające otrzymać długo oczekiwany podarunek.

Metr dalej dostrzegł odcisk kończyny przyszłej ofiary doskonale zachowany w miękkim podłożu. Zagłębienie nie było jeszcze wypełnione wodą, musiało więc powstać zaledwie chwilę wcześniej. Wagę ofiary oceniał na jakieś pięćdziesiąt kilogramów.

W tym czasie zza najbliższego wzniesienia wychynął pierwszy zwiastun nadchodzącego świtu – zimny promień słońca odbijający się od chmur. W oddali zaśpiewał samotny ptak, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, zamilkł. Tamtego dnia natura, tak samo jak przez siedem poprzednich lat, próbowała się przebudzić i podobnie jak przez siedem poprzednich lat poniosła klęskę.

Łowca bez chwili zwłoki nałożył cięciwę na łuk w taki sposób, żeby drewno nie wydało z siebie najmniejszego nawet dźwięku, a następnie ruszył w stronę, którą wskazywały tropy. Wiedział, że jest blisko, bo ślady były bardzo świeże. Wiedział również, że musi uważać na każdy, nawet najdelikatniejszy podmuch wiatru, bo ten, przenosząc jego zapach, mógłby spłoszyć zwierzynę.

Wstrzymał oddech, wierząc, że jego wysiłek może zostać wynagrodzony już za chwilę. Pomimo niskiej temperatury zdjął rękawicę, a następnie wyjął strzałę z kołczanu, przyjrzał się jej dokładnie, po czym nałożył na cięciwę.

Po około dwóch minutach marszu przekroczył granicę swojego terenu łowieckiego i stanął w wąwozie wyciętym w górze przez niewielki strumień i będącym zarazem jedyną drogą na południe. Potem wszedł na jeden z głazów, schował się za usycha-

jącym karłowatym iglakiem i przyjrzał się okolicy. Jego przyszła ofiara musiała być w zasięgu wzroku. Dostrzegł ruch znacznie szybciej, niż przepuszczał, bo zwierzyna była bardzo nieostrożna. Po chwili ukazała mu się cała, krocząca po drugiej stronie strumienia, bura jak otoczenie. Widział nawet obłoki pary opuszczającej jej nozdrza. Nie była niczego świadoma.

Pobliskie drzewo skrzypnęło zmęczone porannym przymrozkiem.

Zaniepokojona ofiara zrobiła kilka kroków w stronę strumienia. Wiedział, że to odpowiedni moment, więc napiął cięciwę i czekał. Nie czuł wtedy niczego, liczył się tylko on, jego strzała i cel. Wziął pod uwagę odległość, wycelował i mimo że drżały mu ręce, a palce zaczynały drętwieć, beznamiętnie wpatrywał się w przyszłą zdobycz.

W końcu puścił cięciwę, jednocześnie wydychając powietrze z głośnym świstem. Pocisk przeleciał około trzydziestu metrów, a następnie wbił się głęboko w prawą pierś zwierzyny, zagłębiając się po same lotki. Przez parów przetoczył się głuchy ryk umierającego stworzenia, które jednak zamiast poddać się oprawcy, ruszyło do rozpaczliwej ucieczki. Przeklął. Miał nadzieję, że strzał okaże się śmiertelny i nie będzie musiał dobijać.

Teraz niezbędne było szybkie działanie, w przeciwnym wypadku mógłby nigdy nie znaleźć ciała. Założył łuk na plecy, zsunął się z niewielkiego zbocza i rzucił się w pogoń, jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu śladów. Był pewien, że przebił jej płuco, a może nawet uszkodził jedną z tętnic. Okoliczna ściółka spłynęła jasną wydzieliną i krwią, której widział więcej z każdym krokiem.

W końcu znalazł się na niewielkiej błotnistej polance o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych. Po przeciwległej stronie jagodzisk leżała ona – zwierzyna niezdolna do dalszej ucieczki. Z jej boku sterczała złamana strzała, a szkarłatna krew

mieszała się z błotem. Widok był makabryczny, ale nie miał żadnych wątpliwości – zdobycz wciąż była żywa.

„Kiedyś polowało się dla zabawy, a teraz muszę to robić, żeby żyć" – pomyślał, a następnie naciągnął łuk i strzelił po raz drugi. Adrenalina opadła i przestał czuć podniecenie. Nie zawsze lubił polować, a to był ten moment, kiedy mu się to nie podobało. Czasem nawet brzydziła go konieczność patroszenia jeszcze ciepłego ciała, ale musiał wyżywić rodzinę i wioskę, więc bez zastanowienia zrobił to, co do niego należało.

Odczekał, aż zwierzyna przestanie się trząść, wyciągnął z niej strzały. Potem usunął trzewia i zaczął wycinać mięso. Po około dwóch godzinach było już po wszystkim.

„Gdyby nie przypadkowy ślad w igliwiu, ona wciąż by żyła". Otarł czerwone od krwi ręce, spojrzał na kręgosłup, kości, trzewia, skórę niewartą wzięcia ze sobą i skrzywił się, a potem beznamiętnie ruszył w drogę powrotną, w której miał spotkać Generała i razem z nim wejść do wioski.

Spełnił swoją powinność.

II

Łowca zatrzymał się kilka kroków przed miejscem, w którym zielono-bure jagodziska ustępowały miejsca rozmokłej ziemi, deptanej każdego dnia przez mieszkańców wioski.

– Idziesz? – Postój rozzłościł Generała.

– Tak.

Ruszyli ponownie, wspólnie przekroczyli granicę osady, a nieco dalej przeszli przez kilkumetrową wyrwę w skałach biegnących z północy na południe. Każdemu z ich kroków bacznie przyglądały się dwa tuziny oczu.

– Zrobiłeś swoje. Daj mi torbę z mięsem, a ja przekażę je do przyrządzenia. – Wojskowy rzucił towarzyszowi wymowne spojrzenie.

Łowca zdjął torbę z pleców i oddał ją w ręce kulejącego towarzysza. Uważał go za próżnego. Innym razem oburzyłby się na jego żądanie, ale był bardzo zmęczony i marzył tylko o odpoczynku. Generał przyjął skórzany worek z zadowoleniem, którego nie potrafił jednak okazać za pomocą uśmiechu. Jego twarz pozostała obojętna jak zawsze, ale stare ręce drżały, bo chęć przypisania sobie części zasług była okupiona wielkim trudem utrzymywania ciężaru mięsa.

– Jesteś pewien, że sobie poradzisz? – spytał Łowca z zażenowaniem, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Wolnym krokiem, dostosowanym do możliwości kulejącej nogi Generała, doszli do niewielkiego, pokrytego błotem placyku w centrum osady. Stało tam dwunastu ludzi. Wszyscy ich oczekiwali.

– Upolowaliśmy starego, wychudzonego odyńca – oznajmił Generał. Jego słowa wywołały uśmiech na wygłodzonych twa-

rzach. – Hodowco, ty i Kucharka przyrządzicie mięso. Zgodnie z tradycją jutro zbierzemy się przy ognisku. To wszystko, możecie odejść do swoich zajęć.

Człowiek nazwany przez starego Hodowcą wystąpił z szeregu i wziął od niego mięso. Generał odetchnął z ulgą, bo nie potrafiłby go dłużej utrzymać. Pozostali nie ruszyli się z miejsca jeszcze przez kilkanaście sekund.

Potem cztery kobiety, trzej mężczyźni i czwórka dzieci rozeszli się do swoich chat. Na dworze pozostał jedynie Generał, który usiadł na niezbyt szerokim pniu obok swojego domu, i ciężarna kobieta, która przytulała wyglądającego na nieszczęśliwego piętnastoletniego chłopca. Oboje mieli podobne rysy i twarze bure jak otoczenie.

Łowca podszedł do nich i bez słowa objął. Nie był tak szczęśliwy nawet wtedy, gdy udawało mu się upolować w pełni zdrowe zwierzę. To dla nich, nie dla innych czy Generała, opuszczał to miejsce co dwa tygodnie i zdobywał pożywienie.

– Jesteś.

– Jestem, Żono – odpowiedział, a po chwili pocałował ją w usta.

Miała niecałe sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, przy wadze około pięćdziesięciu kilogramów. Kiedyś jej ciało uznawano za atrakcyjne, ale zniszczyły je lata zmartwień, głód oraz siedem miesięcy ciąży. Strach o nienarodzone dziecko przecinał jej twarz kilkoma podłużnymi zmarszczkami.

Była przeciętnej urody, miała owalną twarz, włosy koloru ciemnego brązu i średni nos, zadarty w kierunku zielonych, pozbawionych blasku oczu. Potrafiła pięknie się uśmiechać, ale teraz jej usta niemal zawsze wyrażały smutek.

Ciało i głowę zakrywała skórzanym płaszczem z kapturem, który uszyła ze skór zwierząt upolowanych przez męża. Pod nim nosiła koszulki z nadrukami modnymi kilka lat wcześniej.

Nie licząc stojącego obok piętnastolatka, była jedyną osobą, którą kochał.

– Wszystko w porządku, Adamie? – zapytał, a następnie puścił rodzinę z uścisku.

Syn nie odezwał się do ojca. Miał twarz wykrzywioną grymasem jak dziecko, które długo czekało na prezent, ale go nie otrzymało. Łowca zgadywał, że chodziło mu o córkę Hodowcy, bo zawsze, kiedy był zły, chodziło o nią.

Młodzieniec miał piętnaście lat, kilka włosów tworzących cień zarostu i dwa centymetry wzrostu więcej niż ojciec. Jako jedyny z mieszkańców wioski uśmiechał się często, czasem nawet bez przyczyny, czym wywoływał zdziwienie i zazdrość innych. Tego dnia był jednak przygaszony i jak gdyby bez chęci życia.

– Poradzę sobie – odparł w końcu Adam, cofnął się o kilka kroków, a potem odszedł w stronę pobliskiej skały, na której siadał zawsze, kiedy coś go dręczyło lub kiedy chciał w spokoju pomyśleć.

– Znowu chodzi mu o nią?

– Tak, ale nie przejmuj się – odpowiedziała Żona. – Jeszcze mu przejdzie albo to ona zmieni zdanie. Będzie musiała. Jest przecież jedynym chłopakiem w jej wieku, który mieszka w tej dolinie, jeśli nie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

– Ma łatwo – odpowiedział Łowca, a potem dodał szeptem: – Kiedyś trudniej było wybrać odpowiednią kobietę. On będzie się cieszył z jakiejkolwiek.

„Ja walczę o ich przeżycie, ale najwidoczniej takie drobnostki są dla nich ważniejsze od jedzenia". Potem przypomniał sobie, że robi to tylko dlatego, żeby ich życie przypominało to sprzed kilku lat. Tak było zawsze, kiedy wracał z łowów. W lesie był bezlitosnym drapieżnikiem i trudno mu było tak od razu ponownie stać się kochającym mężem i rodzicem. Zwykle potrzebował na to kilku godzin.

– Aż tak trudno było mnie znaleźć? – Jego Żona się uśmiechnęła, ale on nie odpowiedział jej ani uśmiechem, ani miłym słowem.

– Poradzi sobie, jest już prawie dorosły. Powinienem jeszcze o czymś wiedzieć? – zapytał. Zachowywał się bardziej jak dowódca proszący o raport niż jak mąż rozmawiający z żoną.

– Powinieneś porozmawiać z Drwalem i Stolarzem – odparła, a potem dodała z irytacją: – Kolejny raz, gdy ty jesteś na polowaniu, oni nie zajmują się tym, do czego się zobowiązali. Całe drewno, które przygotowali przez ostatnie dni, ułożyli pod dachem obok paleniska. Mówili, że potrzebują go na zimę.

– Generał już mi to powiedział. Zaraz się tym zajmę. Chcę mieć ten dom jeszcze przed zimą.

Łowca spojrzał na parę bali leżących kilkanaście metrów dalej. Położone jeden na drugim tworzyły cztery ściany o wysokości jednego metra. Obok powinny znajdować się materiały do dalszej budowy, ale wiedział, że ich tam nie ma. Westchnął, pocałował Żonę i ruszył w stronę niewielkiej chatki, w której mieszkał Drwal wraz ze swoją kobietą.

Rozejrzawszy się dookoła, Łowca doszedł do wniosku, że ich wioska była bardzo mała. Przez kilka lat wybudowali tylko pięć chat i parę spiżarni, które ukryli wśród skał położonych u podnóża góry, na której szczycie już dawno nie stanęła ludzka stopa.

Ich osada nie nosiła nawet nazwy, ponieważ nikt nie czuł potrzeby jej nazywania. Określali ją po prostu mianem Wioski. Co kilka dni spotykali się na placu w jej centrum, palili ognisko i wspominali czasy, które już minęły i do których mieli już nie wrócić. Drewno składowali pod dachem ze świerkowej kory, nad którym górował samotny ostaniec i rosnące w tej samej linii drzewo.

Łowca ruszył na drugą stronę placu. Minął ciasną i pełną wilgoci lepiankę, którą zamieszkiwała Kucharka i jej kilkuletnia

córka, obszedł domek należący do Hodowcy, jego żony i córki, minął pole, na którym sadzili ziemniaki, oraz słomiany dach, pod którym chroniły się oswojone kozy, i stanął u celu – przed drzwiami lepianki należącej do Drwala i jego kobiety. Widział stamtąd dwa domy z drewna, w których mieszkał Generał oraz Stolarz z rodziną.

Zazdrościł im. On nie miał domu. Razem z Żoną i Adamem żył w ocieplonej jaskini przy jednym z dwóch wejść do Wioski. Stary upierał się, żeby tam zostali i strzegli innych przed drapieżnikami, ale on chciał mieszkać we własnej chacie z bali i dlatego kilka tygodni wcześniej rozpoczął jej budowę. Pozostali mieszkańcy byli niechętni temu pomysłowi, dlatego musiał upominać się o drewno.

Uderzył w drzwi, które Drwal wykonał z kawałka blachy falistej, i odsunął się na kilka kroków. Po paru sekundach ze środka chatki wysunęła się głowa młodego, dwudziestokilkuletniego mężczyzny. Na widok Łowcy młody skrzywił się, jak gdyby wiedział, że musi dojść do tej rozmowy.

Był wysoki, najwyższy ze wszystkich mieszkańców. Mierzył ponad sto osiemdziesiąt pięć centymetrów i był potężnej budowy. Potrzebował dużych ilości jedzenia, ale dostarczali mu ich, bo wykonywał najcięższe prace fizyczne. Ścinał sosny i modrzewie za pomocą piły lub siekiery, ciął je, a potem przynosił do Wioski i rozłupywał na opał bądź przekazywał Stolarzowi.

Jego twarz pokrywała broda, popularna pośród prawdziwych drwali i miejskiej bohemy w czasie, kiedy to się zaczęło. Miał smutne niebieskie oczy, przycięte włosy i jedynie osiem palców u rąk. Dwa pozostałe stracił, wykonując swoje obowiązki dwa lata wcześniej. Mimo to wciąż był lekkomyślny. Zawsze wiedział wszystko lepiej. Kochał swoją kobietę i często jej to okazywał,

wywołując zgorszenie u pozostałych mieszkańców Wioski, którzy wielokrotnie przyłapywali ich w intymnych sytuacjach.

Łowca zawsze uważał, że w tym przypadku wysoki wzrost nie był atutem, tylko przeszkodą, bo wiązał się ze stratą cennej energii, ale lubił tego człowieka, bo przypominał mu jego samego z czasów młodości i był bardzo bezpośredni. Kiedyś pewnie zaprosiłby go na piwo.

– A, to ty… Witaj – westchnął Drwal, wiedząc, że czeka go trudna rozmowa.

– Tak, to ja.

Wymienili uścisk dłoni.

– Dzięki za tego dzika, bez ciebie byłoby naprawdę ciężko.

– To nic, robię tylko to, co do mnie należy. Zawsze robię to, co do mnie należy. Nie narzekam, bo wiem, że jest ciężko, ale… – popatrzył z ukosa – ale dlaczego ze Stolarzem nie zaczniecie mi w końcu dostarczać materiałów? Nie proszę o wiele, sam wybuduję sobie dom, ale potrzebuję bali.

– Potrzebowaliśmy drewna na opał. Wiesz, że zimy są coraz cięższe. Poza tym – Drwal zniżył głos – nie mów nikomu, że wiesz, ale Generał kazał nam się nie śpieszyć. Uważa, że mieszkając tam, gdzie teraz, strzeżesz nas przed zagrożeniem.

– Domyśliłem się. On traci zmysły. Ma pistolet, ale nie chce nas chronić. Nieważne. Posłuchaj mnie. Zależy mi na tej chacie. Chcę, żeby przypominała prawdziwy dom, żeby życie było trochę jak kiedyś. Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, ale boję się Generała. Poza tym ma trochę racji. Jesteś nam tam potrzebny, sam boję się tego, co może przyjść z lasu.

– A gdyby tak przez trzy następne polowania jeden kilogram mięsa, który ukryję w swojej kurtce, trafiał bezpośrednio w twoje ręce? Zależy mi na tym domu, jak tobie na niej, i mogę dużo

poświęcić – powiedział Łowca, zauważywszy kobietę Drwala stojącą dwa metry za swoim mężczyzną.

Drwal odwrócił się mimowolnie. Na jego obliczu pojawił się grymas. Toczył wewnętrzną walkę, w której strach miał przegrać z głodem. W końcu przytaknął.

– Przyjmuję ofertę. Mój króliczek jest ostatnio bardzo słaby. Przydadzą jej się dodatkowe kalorie.

Łowca osiągnął swój cel i marzył już tylko o powrocie do Żony i syna, o kolacji, a potem ciepłym posłaniu.

– Przekaż tę propozycję Stolarzowi. Wiesz, że nie najlepiej się z nim dogaduję. Zaproponuj mu to samo i daj znać, czy się zgodził.

– Tak zrobię. Zastanawiasz mnie, Łowco. Nigdy nie dajesz się wyprowadzić z równowagi i zawsze wychodzisz na swoje.

Wiedział, że młody ma rację, ale nie widział sensu, żeby o tym mówić.

– Daj znać, kiedy dostanę drewno.

– Dostaniesz je, kiedy tylko uda mi się je ściąć.

– Dzięki. Bywaj.

Uścisnęli sobie dłonie. Potem Drwal zamknął drzwi, a on został sam. W czasie ich rozmowy zachodzące słońce zdążyło całkowicie zniknąć za górami, a pozostali mieszkańcy w swoich chatach.

Bez zwłoki ruszył w drogę powrotną, ale obok zagrody dla kóz zauważył Hodowcę i postanowił porozmawiać z nim o jego córce i swoim synu Adamie.

Mężczyzna był niemal całkowicie łysy. Cały czas nosił czapkę, chroniącą go przed zimnem, i płaszcz uszyty ze skór kóz, które wyhodował i zabił w ostatnich latach. Kiedyś pracował w dużej korporacji, ale nie podobało mu się tam, więc wyjechał w góry i zajął się hodowlą alpak. Dlatego właśnie nazywali go Hodowcą. Z dawnych lat oprócz talentu do zajmowania się zwierzętami po-

został mu też zwyczaj wychodzenia na papierosa i ciągłego sięgania ręką do ust. Często żalił się Łowcy, że przed śmiercią chciałby sobie zapalić, ale najpewniej i to nie będzie mu dane.

Obaj bardzo się lubili, a czasem nawet określali się mianem przyjaciół.

– Witaj – powiedział cicho Hodowca, a potem podał mu starą puszkę wypełnioną kozim mlekiem. – Tydzień temu skończył mi się bimber, ale to też nie jest najgorsze.

– Na pewno będzie lepsze niż woda – odparł Łowca z uśmiechem. Pierwszy raz od kilku dni pił coś o wyraźnym smaku. – Co tu się stało w czasie mojej nieobecności? Minęło tylko parę dni, a ja się dowiaduję, że Generał wstrzymał dostawę materiałów na mój dom.

– Jest stary i trochę zwariowany, ale wydaje mi się, że wie, co robi.

– Może masz rację, ale to mi nie na rękę.

Wypili po łyku mleka.

– Wierzę, że jakoś sobie poradzisz, jeśli jeszcze tego nie załatwiłeś.

– Mając mięso, jestem w stanie rozwiązać każdy problem.

– Doprawdy czasem mnie przerażasz. Nieważne. Zapytałbym o polowanie, ale i tak nie odpowiesz, więc powiedz chociaż, co się dzieje w lesie.

– Jeśli pytasz, czy jest lepiej, to muszę cię rozczarować. Nie słyszałem nawet ptaków. Wszystko wygląda jak wtedy, gdy tu przyszliśmy.

Hodowca westchnął.

– Czasem zaczynam wątpić, czy będę jeszcze żył normalnie, ale powoli się z tym godzę.

– Ważne, że na razie mamy co jeść i nie kłócimy się między sobą. Nie skupiaj się na przyszłości. Teraz ważne są następne miesiące i przetrwanie zimy. Pogoda się zaostrza.

– Zauważyłem. Tego lata temperatury sięgały chyba trzydziestu pięciu stopni, a w połowie sierpnia zaczęły się przymrozki. Moje kozy nie są przyzwyczajone do takich warunków. Zegar biologiczny szlag trafił. Nigdy nie lubiłem pieprzonej zimy.

– Zmieńmy temat. Zawsze kiedy o tym rozmawiamy, zaczynam wspominać stare czasy i jest mi smutno. Opowiedz lepiej, co wydarzyło się między twoją córką a moim Adamem.

– Aaa, to… – Hodowca zaniósł się śmiechem podobnym do kaszlnięć. – Nic takiego. Każdy z nas to przeżywał. Chciał ją pocałować, a ona odpowiedziała, że nie może tego zrobić, bo jest jej przyjacielem. Zastanawia mnie tylko, z kim chciałaby być, jeśli jedyny chłopiec w osadzie jest jej „przyjacielem". Wiesz co, Łowco? Jesteśmy chyba skazani na zostanie rodziną.

– Dojście do tego wniosku zajęło ci siedem lat?

– Daj spokój. Niedawno byli jeszcze dziećmi. Mam tylko nadzieję, że nie zrobią niczego głupiego. W takich warunkach zajście w ciążę byłoby dla niej równoznaczne ze śmiercią.

– Wiem. – Głos Łowcy się załamał. Pomyślał o swojej ciężarnej Żonie. Każdego dnia bał się o nią i o ich nienarodzone dziecko ale jeszcze nigdy nie wypowiedział tego na głos. Polował i zabijał zwierzynę głównie dla niej i nie wiedział, czy potrafiłby robić to dalej, gdyby jej zabrakło.

– Oj, daj spokój – zawołał Hodowca – twoja Żona to silna kobieta. Da radę i ty też dasz radę. Zawsze dajesz radę. Kiedyś zaproponowałbym ci papierosa, były dobre na stres. Albo jeszcze lepiej skręta. Teraz zastępuję je tym gównem – dodał z frustracją po chwili milczenia i wylał resztki koziego mleka z kubka.

– Umiesz człowieka pocieszyć. – Łowca spróbował się uśmiechnąć, ale to, w jaki sposób przyjaciel pozbył się napoju, wprawiło go w osłupienie. – Nie rób tego więcej. Nie po to na-

rażam się w lesie i zabijam zwierzynę, żebyś ty marnował cenne kalorie. – Był śmiertelnie poważny, a w jego oczach malował się cień obłędu.

– Przepraszam. – Hodowca był przestraszony, ale nie dawał tego po sobie poznać.

Łowca zrozumiał swój błąd.

– To ja przepraszam. To pewnie zmęczenie. Duchem jestem jeszcze na polowaniu. Lepiej już pójdę. Dziękuję za to, jak to mówisz, „gówno". Dawno nie piłem lepszego. Widzimy się jutro przy ognisku.

– Razem z Kucharką zadbamy o upolowanego przez ciebie odyńca. Będzie ci smakował.

– Nie mam ochoty na mięso z dzika. Żona ukryła gdzieś wędzone płaty łosia z końca lata. One mi wystarczą. Wy zjedzcie świeżo wypieczoną dziczyznę.

– Jak wolisz – westchnął Hodowca, sięgając ze zdenerwowaniem palcami do ust, a następnie z irytacją odsuwając rękę.

– Bywaj – pożegnał się Łowca i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę swojego domu.

Jego „Jaskinia", bo tak nazywał ją zarówno on, jak i mieszkańcy, była tak naprawdę kilkumetrowym zagłębieniem w potężnej skale tworzącej południową granicę Wioski. Nie lubił tego miejsca, ale musiał spędzać w nim każdą noc, gdy nie był na polowaniu. Zawsze powtarzał, że gdyby nie śpiąca obok Żona, wyszedłby na dwór i przenocował pod namiotem ze skór.

Tymczasowe mieszkanie zabudował świerkowymi balami zarówno w środku, jak i tam, gdzie kiedyś znajdowało się szerokie na dwa metry wejście, które zastąpił drzwiami z blachy falistej. Na podłodze położył deski i kawałek starego, stęchłego dywanu znalezionego w jakiejś opuszczonej chacie kilka kilometrów od Wioski.

Zbudował też dwa prowizoryczne łóżka. Jedno, należące do Adama, wykonał ze zwyczajnych desek i fragmentów tapicerki samochodu. Drugie, na którym spał z Żoną, powstało z palet dostawczych i prawdziwego materaca, który zabrał z przedmieścia opuszczonego miasteczka położonego po drugiej stronie kotliny.

W Jaskini przeszkadzała mu nie tyle wysoka wilgotność, ile jej klaustrofobiczne wnętrze i ciemności panujące w niej przez większość doby.

„Mieszkanie tu jest uwłaczające. Pomyśleć, że Adam uważa to za coś normalnego. Zresztą… to moja wina, on po prostu się tu wychował" – pomyślał. Potem wziął głęboki wdech, otworzył drzwi i wszedł do środka. „No tak, wszyscy już śpią, jak zwykle z zachodem słońca".

Adam leżał przykryty ciepłym, puchowym śpiworem, zabranym ze starego domu. Nad jego głową wisiała półka przeładowana książkami o najróżniejszych tytułach i datach wydania. Na przekór ojcu piętnastolatek nie sięgał do nich zbyt często i nie czytał za dobrze, bo nie wierzył, że ta umiejętność kiedyś mu się przyda. Lubił natomiast słuchać różnych opowieści i często powtarzał ich morały. Do gustu szczególnie przypadły mu Antygona i Król Edyp Sofoklesa. Gdy usłyszał je po raz pierwszy cztery lata wcześniej, chodził po Wiosce i pytał wszystkich, jak postąpiliby na miejscu starożytnych bohaterów, ale zbyła go nawet własna matka. Odpowiedzi udzieliły tylko dwie osoby. Generał, z niewiadomych powodów lubiący chłopca, „zrobiłby, co należy", a ojciec „nie wiedziałby, co zrobić".

Dwa metry dalej, na materacu, pod dwiema ciepłymi kołdrami i śpiworem, leżała jego Żona. Przez chwilę Łowcy wydawało się, że ukochana śpi, ale gdy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zobaczył, że ona też się w niego wpatruje. Przeszedł dzielącą ich odległość, schylił głowę, uważając, żeby nie uderzyć się

o kawał odstającej skały, zdjął śmierdzące mięsem i lasem ubranie, włożył dresowe spodnie i polar, a na koniec umościł się po prawej stronie łóżka i przykrył kołdrą.

Żona uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech, ale zrobił to tylko z grzeczności. Był zmęczony i zdenerwowany wszystkim, co usłyszał tego wieczora.

– Powinnam ci jakoś wynagrodzić tego dzika – powiedziała słodkim tonem, przypominającym głos nastolatki, a nie czterdziestoletniej kobiety. Jednocześnie przysunęła się bliżej, przytuliła i zawiesiła rękę na jego klatce piersiowej, a potem zaczęła sięgać nią coraz niżej.

– Najlepiej mi to wynagrodzisz, jeśli pozwolisz mi spokojnie zasnąć – oznajmił, zatrzymując jej rękę na wysokości swojego pasa.

Początkowo zaskoczyły ją słowa męża, ale po chwili ochłonęła i z frustracją zapytała:

– Już nic do mnie nie czujesz? Tak jest zawsze! O co chodzi? Co ci powiedział Drwal?

– Czuję. Kocham cię, ale dziś nie mogę. Tu nie chodzi o Drwala. Wszystko poszło jak trzeba.

Czuł obrzydzenie na samą myśl o współżyciu, ale nawet sam przed sobą nie umiał w pełni wytłumaczyć tego uczucia.

– Chodzi o mnie?

– Nie do końca.

– Powiedz.

– Czy to ważne? Wiesz, że potrzebuję odpoczynku… Ta rozmowa może zaczekać.

– Coś złego stało się między Adamem a córką Hodowcy?

– Nie. Znaczy… – jąkał się – nie. Ona po prostu stwierdziła, że powinni być tylko przyjaciółmi. To nic. Hodowca jest za-

dowolony, bo się boi, że mogłaby zajść w ciążę. – Gdy wymówił słowo „ciąża", jego głos się załamał.

Żona westchnęła.

– A więc chodzi o mnie.

– Tak, o ciebie. Boję się o ciebie i o dziecko, rozumiesz? Jeśli Hodowca się boi ciąży, to znaczy, że my też powinniśmy. On odebrał mnóstwo zwierzęcych porodów. Nie powinnaś rodzić dziecka w takich warunkach. Nie powinniśmy skazywać go na takie życie, a Adama na ryzyko utraty matki. Pół roku temu też chciałaś wynagrodzić mi polowanie. A ja, głupi, na to poszedłem. I jak to się skończyło?

– Mam ci przypomnieć, że to nie był ani pierwszy, ani ostatni raz?

Łowca zmieszał się i zrozumiał, że duża część winy leży po jego stronie.

– Przepraszam. – Nagle tak posmutniał, że nawet wściekłej Żonie zrobiło się go żal i nieco się uspokoiła.

– Nie… Masz rację. Ale stało się. Nie zmienisz tego.

– Tak, ale… ale po prostu nie wiem, co zrobię, jeżeli coś pójdzie nie tak.

– Musisz się wyspać – oznajmiła całkowicie spokojnie, a nawet w opiekuńczy sposób, a potem pocałowała go w usta i wtuliła się w jego ramię. – Po prostu musisz się wyspać, a rano nie będziesz już Łowcą, tylko moim kochającym mężem.

Westchnął, a potem objął jej ramię. „Zapewne ma rację" – pomyślał, ale pomimo zmęczenia nie zmrużył oka przez kilka kolejnych godzin. Wciąż czuł adrenalinę, niepewność i uczucie zagrożenia obecne podczas polowania. Wmawiał sobie, że te uczucia towarzyszą mu tylko w lesie, ale w głębi serca wiedział, że nie opuszczały go od ponad siedmiu lat, czyli od chwili, w której wszystko się zaczęło.

„Jestem drapieżnikiem, a czuję się jak osaczona ofiara”. – Po chwili odrzucił tę myśl i pogrążył się w niespokojnym śnie.

Koniec wersji demonstracyjnej